

Władysław był śmiertelnie zmęczony, jak każdego wieczora. Praca na kolei wykańczała go systematycznie, jak gdyby męki, które mu zadawała, były karą za niewierność. Po raz kolejny musiał wrócić do pracy przy torach, gorzko żałując swoich wyskoków w bok w celu zostania artystą. Władysława jednak niewiele to nauczyło. Tym razem także siedział nad kartką papieru i bawiąc się piórem patrzył bezradnie w pulpit rozlatującego się biurka. A tekst na kartce sam z siebie nie raczył się pojawić.

W izbie było zimno jak na Syberii, a na domiar złego kończyła się wódka.

Do pokoju weszła Małgorzata.

– Rusz się wreszcie – powiedziała sennym głosem. – Spóźnimy się na seans.

– Nigdzie nie idę – burknął Władysław. – Te brednie nic mnie nie interesują. Poza tym, pracę mam do wykonania.

– Będziesz się upijał ciągle? – zakpiła. – A może za coś pożytecznego byś się wziął, zamiast trudzić się tym bazgroleniem. Masz też szansę w końcu zjeść ciepły posiłek, w towarzystwie ludzi bogatych. A nuż któryś pracę ci da lepszą. Honorowym gościem masz być przecie.

– Nie pilno mi do zabaw z tymi szaleńcami.

– To nie szaleńcy, to poważani ludzie. A to, czym zajmują się w wolnym czasie to najprawdziwsza prawda, sama widziałem nieraz, jak szklanka się poruszała.

– To brednie. Widziałas to, co widzieć chciałas.

– Władek – powiedziała, podchodząc do niego i czule przytulając. – Dla mnie zrób to. I dla siebie. Proszę. Naprawdę bardzo chciałabym porozmawiać z Kaziem.

– Ale przecież on...

– Nie żyje, wiem. Ale mamy sposobność i tak się z nim spotkać. Dlaczego ty mi nie wierzysz? Dlaczego nie chcesz spróbować? Jest tyle rzeczy, o które chcę go zapytać.

– Opuść. Ja naprawdę nie mam na to siły.

– Nie chcesz, to nie idź. Ale ja idę.

– Nie będziesz sama po nocy się włóczyć.

– Będę.

Władysław westchnął, odłożył pióro, pocałował Małgorzatę w czoło.

– Dobrze już. Czas nam w drogę zatem. Ubrać się muszę.

– Tam – rzekła Małgorzata, wskazując na łóżko. – Frak ci wyprałam.

Władysław spojrział na odzienie. Rzeczywiście, było w nieco lepszym stanie, niż wtedy, kiedy ostatni raz je oglądał. Nie można jednak było powiedzieć o nim, że nadaje się na salony. Poszarzały, wytarty materiał uderzająco, wręcz nachalnie zdradzał stan społeczny właściciela.

Małgorzata dostrzegła jego grymas, prychnęła.

– Lepiej nie będzie – powiedziała sucho.

Władysław bez słowa ubrał się, uczesał, założył okulary. Wyszli.

Częstochowa była o tej porze roku zimna i mokra. Gęsta mgła doskonale współgrała z mrokiem wieczornym, tworząc z nim do pary swoisty całun, który skutecznie przyćmiewał mizerny blask latarni olejowych. Chłód bił Władysława prosto w twarz, zmuszając go do szukania schronienia za rękawem, by choć trochę uchronić się przed lodowatym wiatrem.

Małgorzata, wtulona w niego, zdawała się nie odczuwać zimna. Władysław widział, że dziewczyna zamiast kroczyć stopami po ziemi, niemal fruwała tuż nad nią, uniesiona podekscytowaniem związanym z wizytą w domu Puszowa. Uśmiechała się niezrozumiale. Zazdrościł jej tego. Cała jej wiara, ufność i – w mniemaniu Władysława – naiwność, dodawały jej mocy, z której tak brakowało kolejarzowi.

– To tutaj – powiedziała cicho Małgorzata, gdy doszli na miejsce. – Zapukaj.

Władysław chwycił kołatkę, zastukał nieśmiało w drzwi domu. Po chwili otworzyły się one, lekko skrzypiąc.

– Nareszcie! – uradował się Puszow, stojący w drzwiach. – Już myśleliśmy, że pan nie przyjdzie! Proszę wejść!

Wkroczyli nieśmiało do pomieszczenia. Przyjemne ciepło od razu rozprzestrzeniło się po kościach Władysława. Natychmiast zaparowały mu okulary, jednak mimo tego dostrzegł w oddali pokoju nakryty stół, krzątającą się służbę oraz kilka innych osób, elegancko ubranych.

– Już myśleliśmy, że pan nie przyjdzie – powtórzył Puszow, odbierając ich płaszcze. – A przecież bez pana ani rusz, panie Władysławie. Proszę za mną, głębiej, głębiej, przedstawię państwa reszcie przyjaciół.

Poszli.

– Państwo pozwolą – zaczął Puszow ceremonialnie. – To, jak z pewnością słusznie mniemacie, jest pan

Władysław Urbański, człowiek, o którym tyle opowiadałem. Zgodził się uświetnić swoją obecnością nasze małe spotkanie.

Zgromadzeni w izbie pojedynczo podchodzili do Władysława i Małgorzaty, a Puszow przedstawiał ich wszystkich.

– To pan doktor Jewgienij Tukow, nowy w szeregach naszych, jako i pan, panie Władysławie. To pan Piotr Kołakowski, artysta-muzyk. A to już pani pułkownikowa Witoszowa, nasza ulubiona gwiazda i dobrodziejka.

– Uszanowanie moje – skłonił się Władysław, całując w rękę panią pułkownikową.

– Zatem – powiedziała Witoszowa – to ten utalentowany mężczyzna, którego tak pan wychwalał, Puszow? Wielce ciekawa, czy on aby nie nazbyt przestraszony.

– Proszę się nie obawiać – odpowiedziała jej milcząca do tej pory Małgorzata. – Władysław jest bardzo zdolnym medium, ponad wszelką wątpliwość zaspokozi pani ciekawość.

– Dajże spokój, Jadwigo – roześmiał się doktor Tukow. – Nie męczmy gościa w progu. Przejdźmy może do jadalni.

– Oczywiście – zgodził się Puszow. – Tędy, proszę.

Przeszli. Zapach mięsiwa unosił się w powietrzu, nęcąc głodnego Władysława, któremu już od paru dni nie przyszło zjeść dobrej strawy. Nie przeszkadzał mu nawet swąd z fajki Tukowa, który mimo obecności dam kurzył wściekle jakieś paskudztwo. Witoszowa przyglądała się Urbańskiemu z niezdrowym zainteresowaniem.

– Zatem – zaczęła, gdy już usiedli – może pan przypomni, Puszow, skąd takiego wziął pan cudownego człeka? Przecież mówił pan, że on kolejarz.

– Prawda to – Puszow odstawił kielich z winem, przetarł usta. – Jednak los nas połączył, bowiem pan Urbański często chodził był na moje seanse w Warszawie. Czasu swego chciał do towarzystwa naszego wstąpić.

– To przeszłość – powiedział Władysław z pełnymi ustami, nie bacząc w najmniejszym stopniu na etykietę. – Teraz już poważniejsze mam zajęcia. Jako pani rzekła, madame, jestem kolejarz prosty, ale i aktor.

– I pisarz-amator – dodała Małgorzata, służąc mu jak zwykle wsparciem.

– Ha! Pisarz! – roześmiał się Kołakowski. – Każdy teraz pisarz i poeta, kiedy ojczyzna w żałobie po powstaniu. A za broń nie ma kto chwycić.

– Pan, panie Piotrze – prychnęła Witoszowa – sam rzadko o bagnecie był widziany.

– Mnie – oburzył się muzyk – inne rzeczy są pisane, jeśli nie wie pani. W Paryżu nawet tęsknią za moimi kompozycjami! A i pani też zatęskniłaby, gdybym od kuli pomarł, jak pani małżonek.

– Dość już tych przepychanek! – syknął Puszow. – A ty, Kołakowski, uważaj na ton, jakim do pani pułkownikowej mówisz! I do gościa naszego!

– Racja – zgodził się muzyk, po czym wstał, chwycił dłoń Witoszowej i ucałował, szczerząc przy tym zęby. – Wybacz pani moje zachowanie, pożałowania godne. I pan, panie Urbański. Czasem z podniecenia zapomina człowiek o manierach. Ale jeśli piszesz pan o świecie nadwiślańskim, wspomnij też o widokach trasy Częstochowa – Warszawa. Nowe tory z huty kłaść będą, takem słyszał.

Witoszowa zachichotała, nawet Małgorzata wykrzywiła wargi w skromnym uśmiechu, szybko się jednak opamiętując. Puszow klasnął w dłonie.

– Taki już czaruś z tego pana Piotra. Nie sposób się gniewać na niego.

– Rzeczywiście – burknął Władysław.

– Nie boczcie się już, panie Urbański – muzyk zasiadł na miejsce, za przykładem doktora zapalił cygaro.
– Przecież wiecie, że my tutaj raczej spotkaliśmy się w celu innym, niż napychanie żołądka. Duchy mamy wywoływać. Za pana łaskawą pomocą. Proszę wybaczyć mi ostatnie, niedyskretne pytanie. Skoro pan jest aktorem i pisarzem, skąd pomysł o pracy na kolei?

Władysław zaczerwienił się momentalnie.

– Załatwił mi ją ojciec.

– A czymże on się zajmuje?

Urbański milczał. Zareagowała Małgorzata.

– Proszę nie dopytywać się zbyt – powiedziała stanowczo, ale z uśmiechem. – Sprawy rodzinne pana Urbańskiego powinny interesować tylko i wyłącznie jego samego.

– Raz jeszcze dopraszam się wybaczenia – Kołakowski skłonił się lekko, starając się ukryć niekontrolowany, szyderczy grymas. – Za daleko się posunąłem znowu, a przecież to pan i pana dar pozwolą nam obcować dzisiaj ze zmarłymi. Ufam, że nie ma pan nic przeciwko, że nazwę pana naszym „narzędziem”?

– Raczej „instrumentem” – poprawił go Tukow.

– Nie mam – odpowiedział Władysław. – Ale jeśli o mnie chodzi, to niespecjalnie daję wiarę w praktykę taką. Sam kiedyś myślałem, że cudności doznam na seansach u pana Puszowa, jak raczył on już wspomnieć, jednakże rzadko kiedy coś się działo.

– A w Krakowie, panie Urbański? – wtrącił Puszow. – Przecież wtedy duchy mówiły wyraźnie, czego chcą. Na pytania odpowiadały. Tego pan nie pamięta?

– Pamiętam. Później obilo mi się o uszy o zdemaskowaniu szarlatana, jakim owa wróżka co je woływała była.

– Bzdura – prychnęła Witoszowa. – Znałam Madame Vishu od trzech lat, jeśli to o niej mowa. I nigdy się nie zawiodłam. Musiała na odcisk komuś nadebrać. Kto obrzucił ją takimi oszczerstwami.

– Zmieniając temat – odezwał się doktor Tukow – pan, panie Urbański pisze sam, czy z pomocą?

– Przepraszam, czyją pomocą?

– Jakże, czyją! – roześmiał się Piotr Kołakowski. – Duchów! Pozaziemskich!

– Co to za brednie – zmarszczył się Władysław.

– Żadne brednie – uśmiechnął się Tukow. – Znałem pisarzy kilku, co słowa jednego w książkach swoich nie napisali sami. Zawsze z pomocą przychodziły duchy zmarłych. Mój znajomy, niejaki Rochowicz, zdradził mi kiedyś, iż lata już, pozwala rękę swoją prowadzić duchom, które to ślą do niego wiadomości. Niedawno ja sam nawet, zasnawszy nad papierem, rankiem zastałem nieswoje pismo na kartce, a tam były nakreślone zdania niezrozumiałe i wręcz szalone. Czysty spirytyzm.

– Może ktoś panu psikusy zrobił, panie doktorze.

– Wątpię w to. Pana niedowierzanie, panie Urbański, wynika – proszę mi wybaczyć – z niedokształcenia i biedy umysłowej. Automatyczne pismo jest faktem wręcz naukowym, rzeczywistym, jak, dajmy na to, obrót Ziemi wokół Słońca. Nic w tym nie ma wymyślnego.

– Panie Władysławie – chrząknął Puszow. – Całe nasze spotkanie sensu nie ma najmniejszego, jeżeli pan, jako silne medium i niejako kanał łączący z aniołami i duchami, nie wykazę odrobiny chociaż wiary i przekonania. Proszę brać przykład z towarzyszki. Na oko widzę, że ona doskonale wie, iż seanse nasze są prawdziwe.

– To prawda – powiedziała Małgorzata. – A wiem to, bo sama widziała i doznała tego. Wiem nawet teraz, że nas duchy słuchają. Bo są wszędzie. Tylko nie mogą się porozumieć z nami.

– Drodzy państwo – powiedziała łagodnie Witoszowa. – Północ się zbliża, a posililiśmy się już dosyć. Chyba czas przejść do większej sali, nie mylę się, Puszow?

– Ma pani słuszość, pani pułkownikowo – odpowiedział gospodarz. – Zapraszam państwa do przygotowanego pokoju. Proszę więc za mną.

Przeszli do nieco większego pomieszczenia, w którym na środku znajdował się jedynie okrągły stół, a reszta mebli była zsunięta w jeden kąt pokoju. Wnętrze pozbawione było jakichkolwiek wazonów, popielniczek, zbędnych krzeseł czy podnóżków. Jak wyjaśnił Władysławowi Puszow, duchom nieraz zdarza się ciskać przedmiotami po pokoju, lub po prostu delikatnie je trącać, co czasem prowadzi do ich zniszczenia.

Na stole leżały akcesoria niezbędne do seansu: drewniana plansza z wypisanymi w koło literami alfabetu, a także całymi słowami jak „tak”, „nie”, „może” i „nie wiem”. Pośrodku kręgu z liter widniała ruchoma strzałka. Wersja bez szklanki.

Zasiedli. Władysław spojrzał na drżącą z podniecenia Małgorzatę. Nie rozumiał tego kompletnie. Miała potworne wypieki na twarzy oraz lekko rozchylone usta. Ręce i nogi dygotały jej niespokojnie. Wyglądała jak mała dziewczynka, która dostała w prezencie jednoroźca i może pogalopować na nim na koniec świata.

Reszta gości w domu Puszowa, jak i sam gospodarz, wyglądali na bardziej opanowanych. Władysław wiedział, że dla nich to nie pierwszozna. Sam również był na takich seansach, ale nigdy nie jako medium. Nigdy jako ktoś, od kogo cokolwiek zależało.

Był zdenerwowany. Czuł, jak pot płynie mu po plecach.

– Chwyćmy się za ręce – powiedział cicho Puszow. Wszyscy powoli wykonali to polecenie.

– Teraz, panie Urbański – powiedział Tukow – proszę mnie uważnie posłuchać. Musi pan oczyścić myśli i skupić się na tym, co mówię. Zaczniemy od czegoś prostego. Proszę zamknąć oczy i w myślach przywołać obraz zmarłej osoby, bliskiej dla pana.

Władysław usłuchał. Zgodni z obietnicą daną Małgorzacie pomyślał o Kazimierzu, który zginął w rosyjskim więzieniu.

– Mieliliśmy porozmawiać z małżonkiem moim! – oburzyła się Witoszowa. – Właśnie po to przyszedłam tutaj!

– Później, Jadwigo, później – uciszył ją Tukow. – Znajdzie się czas i na to.

Witoszowa uspokoiła się, mruknęła coś pod nosem. Tukow westchnął ciężko.

– Teraz – mówił dalej do Władysława – niech pan myśli swoje skupi na tej osobie. Niech pan ją tutaj zaprosi. Na głos. Całą mocą w głowie i gardle.

– Wzywam cię duchu... – zaczął nieśmiało Urbański.

– Głośniej! Śmielej! – ponaglał Puszow.

– Wzywam cię, Kazimierzu Strzelczyk, przybądź do nas. Przybądź i odpowiedz...

– Głośniej!

– Kazimierzu! Przybądź tutaj i zasiądź z nami do stołu!

– Niech pan korzysta ze swych talentów! Śmielej! Proszę go poczuć!

– Przybądź duchu!

– Proszę go sobie wyobrazić tak, jakby tu był! Niech pan do niego mówi!

– Duchu! Odpowiedz nam! Jeśli tu jesteś...

– Głośniej, na litość Boga!

– Kaziu! Jesteś tu?!

Urbański przechylił kolejną szklankę wódki, skrzywił się. Oczy już mu się kleiły, ale powieść sama się nie napisze.

Obok, na łóżku, siedziała Małgorzata. Władysław widział jej rozczarowanie i żal. Chciał jej powiedzieć, że przecież ją uprzedzał. Chciał jej wyrzucić w twarz, że przecież ostrzegał ją, że nic z tego nie będzie. Ale nie zrobił tego. Za bardzo była rozżalona, za bardzo było to po niej widać. Mimo, że starała się to ukryć.

– Potem – opowiadał dalej kolejarz – Tukow na bok mnie wziął i mówi: „Na Boga, panie Urbański, starajże się pan, do jasnej cholery”. Staralem się. Naprawdę.

Małgorzata nie odezwała się. Władysław czuł się niemal jak winny zbrodni, której przecież nie popełnił.

To, że się do niego pomylili nie czyni go beużytecznym. Ale kiedy patrzył na Małgorzatę, na jej zawiedzione spojrzenie, takie właśnie miał wrażenie.

Dolał sobie wódki do szklanki, przechylił i wypił.

– Później – podjął – myślałem, że nas odprawia, że psami poszczują. Kiedy dalej nic się nie działo. Nie mogło się dziać, nie umiem tego. Ale kiedy ty z Witoszową rozmawiałaś, Puszow podszedł do mnie i powiedział, że to nic, że po prostu może potrzebuję otwarcia. Ujścia. I że potencjał we mnie widzi ogromny. Szaleniec. Powiedział, że do Niemiec chce wyjechać ze mną, że z ludźmi bardziej światłymi i zaznajomionymi ze sprawami mistycznymi chce mnie poznać. Z Londynu podobno. Wierzyć się nie chce.

Milczała.

– Rzekłem mu przez grzeczność – mówił dalej jak do ściany – że się zastanowię. Że czasu potrzebuję. Ale nie jadę nigdzie.

Małgorzata wstała.

– Idę spać – rzekła niewyraźnie. I wyszła z pokoju.

– Ja zaraz przyjdę – odpowiedział jej, myśląc, że ona tego oczekuje. – Tylko coś... napiszę.

Urbański patrzył bezradnie, półprzytomnie. Kartka papieru razila oślepiającą bielą, nieskalaną kroplą atramentu. Odbiło mu się wódką, a światło bijące z kaganka powoli słabło. Głowa opadała mu coraz niżej, aż w końcu zasnął, półsiedząc przy rozklekotanym biurku.

Małgorzata nie mogła spać. Męczyła ją myśl o niepowodzeniu dzisiejszego seansu. Marzenie, by z powrotem porozmawiać z jej kochanym bratem, powoli oddalało się w niebyt. Co gorsza, utracona została szansa na skorzystanie z pomocy mądrzejszych, bardziej doświadczonych wywoływaczy duchów. Wiedziała, że Władysław po takim upokorzeniu już nigdy nie zgodzi się na kolejne spotkanie. Jego niewiara i beznadziejna wręcz racjonalność były dla niej ciosem, który przekreślał szansę na ponowny kontakt.

Walczyła z żalem do Władysława. Walczyła tak bardzo, że aż skręcała się w pościeli. Nie mogła być na niego zła, wiedziała to. Nie można wymagać od człowieka, żeby wyrosły mu skrzydła. Jeżeli Władysław nie jest medium, to nie ma na to rady.

A co, jeżeli jest? Co, jeżeli to wszystko przez jego, jak to określił Tukow, niedoksztalcenie i biedę umysłową? Jeżeli on spartaczył tę szansę i swój talent? Tukow miał może rację. Władysław pewnie teraz siedzi i próbuje pisać. Albo zasnął w najlepsze. Z piórem w ręku...

Tukow. Papier. Automatyczne pismo.

Zerwała się natychmiast, nieco za głośno, stanęła jak kot przy drzwiach nasłuchując, czy aby Urbański się nie obudził. Usłyszała chrapanie, więc cicho, na palcach, poszła do niego.

Nie myliła się. Spał z czołem opartym o pulpit, przy prawie pustej butelce z wódką, obok kartki papieru. Ostrożnie, delikatnie, wzięła pióro, które Urbański miał w dłoni, zamoczyła w inkauscie, wcisnęła mu z powrotem między palce, a pod to położyła niewielki stosik papieru.

Władysław chrapał przekonująco. Popatrzyła chwilę z nadzieją na swoje dzieło, po czym wyszła i położyła się. Zasnęła.

Obudziło ją skrobanie i szuranie krzesłem. Pewnie Władysław oprzytomniał, pomyślała w pierwszej chwili. Cos tknęło ją jednak, aby pójść i sprawdzić. Wyszła z pościeli i stanęła w drzwiach do pokoju, gdzie spał Urbański.

I zamarła.

Rankiem Władysław obudził się późno. Powinien już dawno być na kolei, jednak znowu nie przyszedł do pracy. Przetarł oczy i stwierdził ze zdziwieniem, że obie ręce ma całe upaprane atramentem. W pierwszej chwili był pewny, że wylał go na biurko przez sen, lecz mylił się. Inkaust z piórem zanurzonym w nim stał nienaruszony, a obok leżało kilkanaście kartek papieru zapisanych co do centymetra nieznanym Władysławowi pismem. Zaczął czytać.

– To genialne! – krzyknął. – Czy to ja to napisałem?

Pobiegł czym prędzej do pokoju, gdzie sypiała Małgorzata.

– Spójrz! – powiedział do niej podniecony. – Popatrz na to! To co ja napisałem w nocy! Nawet nie pamiętam tego za bardzo! Ale to jest świetne! Przeczytaj!

Małgorzata milczała.

– Znowu zasnę! – ciągnął Urbański – ale do diabła z tym! Wreszcie udało mi się coś napisać. I to naprawdę coś świetnego. Zwolnię się z kolei i zostanę pisarzem. Gdzie jest woda? Spragniony jestem.

Znów nie odpowiedziała.

Władysław spojrzał na pierwszą stronę rękopisu. Widniało tam nazwisko, jego prawdziwe nazwisko, mimo, że nie znał charakteru pisma: Władysław Stanisław Rejment.

– Idę – powiedział. – Zwolnię się dzisiaj jeszcze. Wrócę później. Musisz przeczytać.

Wyszedł, a Małgorzata wciąż milczała, gdyż odpowiedzieć nie mogła. Wisiała smętnie podwieszona za szyję na lampie, w koszuli nocnej, z okropnym wytrzeszczem przekrwionych oczu. Jej zsiniała twarz skrzywiona była w nienaturalnym przerażeniu, półotwarte usta zdawały się krzyczeć, jednak żaden dźwięk się z nich nie wydobywał.

Jak gdyby zobaczyła ducha.

Trzy dni później, po pogrzebie, Reymont udał się do Puszowa, by omówić sprawę wyjazdu do Niemiec.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Peteron, dodano 12.06.2019 15:33

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.